



Mirosław Derecki

## WEDŁUG NAS ŁUKASIEWICZ!

Przemysław Łukasiewicz powiada o sobie skromnie, że ma smykałkę do mechaniki, ale jego współpracownicy i przełożeni określają to bardziej ściśle: specjalista wysokiej klasy. Kierownik Zespołu Wydziałów Obróbki Skrawaniem lubelskiej FSC, inżynier Marian Usarek twierdzi, że nikt w zakładzie nie zna się tak dobrze jak Łukasiewicz na automatyce obrabiarek, szczególnie na ich sterowaniu hydraulicznym, i że to człowiek niezastąpiony. Żadni z ponad trzystu maszyn pracujących w ogromnej hali, gdzie produkuje się przednie zawieszania i tylne mosty do samochodów „Żuk” i „Nysa” - nie stanowi dla Łukasiewicza tajemnicy. Faktem jest, że wszystkie te maszyny przechodziły przez jego ręce, jako brygadzisty grupy remontowej. Ale również wtedy, kiedy przydarzy się awaria zupełnie nowej, mało znanej, pracującej na drugim krańcu fabryki obrabiarki, pan Przemysław jest wzywany jako swego rodzaju pogotowie ratunkowe i wystarczy mu pogrzebać chwilę w skomplikowanych mechanizmach aby orzec autorytatywnie, co i w którym miejscu w maszynie szwankuje. „W tej materii - dodaje inż. Usarek - sama wiedza teoretyczna, choćby najbardziej szeroka, nie wystarczy. Potrzebna jest ogromna, praktyka, no i owa przysłowiowa smykałka. I wreszcie potrzebne jest poważne podejście do wykonywanego zawodu.”

Był okres, kiedy Łukasiewicz w domu bywał tylko gościem. „Ledwie wróciłem z pracy i usiadłem do obiadu, a już przylatywał goniec z fabryki, żeby iść na pomoc, bo jakaś maszyna stanęła. Potrafili mnie wyrwać w nocy z łóżka, albo dobijać się do drzwi tuż przed świtem. W końcu żona stwierdziła, że jak tak dalej pójdzie, ona nie wytrzyma. Mąż to mąż i musi się od czasu do czasu widywać z rodziną, żeby synowie nie zapomnieli jak ojciec wygląda”.

Te czasy szczęśliwie minęły. Łukasiewicz zdołał wychować sobie zespół ludzi, którzy potrafią pracować i podejmować decyzje samodzielnie. Walnie przyczynił się do tego fakt, że brygadzista nie należy do tych majstrów starej daty, którzy swoją wiedzę kryją przed podwładnymi. Przeciwnie: każdy problem omawiany jest wspólnie. Cenią go i szanują za szczerłość, za bezpośredniość, za brak zarozumiałości.

„On ma autorytet wśród załogi - mówiono niejednokrotnie reporterowi - nie z uwagi na silną rękę, ale dlatego, że imponuje wysokimi kwalifikacjami, dobrą robotą i tym, że kiedy znajdzie potrzeba, czas się dla niego nie liczy. Z takimi ludźmi ma się ochotę pracować”.

Z talentem trzeba się urodzić, co do tego nie ma dwóch zdań. Ale też nierzadko jego rozwój zależy od tradycji wyniesionych z domu rodzinnego. I tak właśnie było z Przemysławem Łukasiewiczem. Od dziecka obracał się wśród maszyn i od najmłodszych lat towarzyszył mu dźwięk stali uderzającej w stal.

Urodził się w 1927 r. w. Wąwolnicy koło Nałęczowa, gdzie ojciec prowadził warsztat kowalski. Tradycja kowalska była zresztą mocno zakorzeniona w rodzinie, dzisiaj warsztat przejął młodszy brat Przemysława, Tadeusz, a i sam ojciec, choć już mocno wiekowy, macha młotem w niewielkiej wiosce pod Stoczkiem Łukowskim. Przemysław jako dwunastoletni chłopak stanął przy kowalskim miechu, a niedługo później i przy kowadle. Razem z ojcem kuli lemiesz do pługów, podkuwali konie, ale chłopaka najbardziej ciągnęło do maszyn rolniczych, które od czasu do czasu trafiały do reperacji. Zawód kowala był w Wąwolnicy ceniony i szanowany, istniało tutaj kilka kuźni - Ścibiora, Lenartowicza, Gocławskiego, ale dopiero zawód mechanika jawił się oczom młodego Łukasiewicza jako rzecz godna najwyższego uznania. Nic dziwnego, że w końcu postawił na swoim i, już w czasie okupacji, znalazł się w szkole zawodowej prowadzonej w Kazimierzu nad Wisłą przez dyrektora Piotrowskiego. Była to szkoła na poziomie dzisiejszej zasadniczej szkoły zawodowej, o trzyletnim okresie nauki, a jej pełny tytuł brzmiał: „Elektromechaniczna Szkoła Państwowych Zakładów Tele. i Radiotechnicznych w Kazimierzu Dolnym”. Szkoła pracowała pod czujnym okiem administracji niemieckiej i stąd najczęściej Niemcy zabierali absolwentów przymusowo do Warszawy, gdzie musieli, pracować w jakichś zakładach trudniących się produkcją dla wojska.

Tutaj przydały się Łukasiewiczowi, umiejętności wyniesione z ojcowskiej kuźni. Ucząc się na pierwszym roku w warsztatach odbywał ćwiczenia z trzecim rokiem uczniów. Byłby pewnie skończył tę szkołę z odznaczeniem gdyby nie fakt, że wcale mu się nie uśmiechała praca dla Niemców. W odpowiednim momencie nie stawiał się na egzamin czeladniczy i zaopatrzony w lewe papiery pomocnika mechanika w parowozowni kolejki wąskotorowej w Karczmiskach, reperował maszyny rolnicze w Wąwolnicy.

„Zawsze ciągnęło mnie do wielkiego miasta - mówił Łukasiewicz. - Wielkie miasto to również wielkie zakłady przemysłowe wyposażone w skomplikowane maszyny. Maszyny zawsze fascynowały mnie swoją złożonością, zagadką która się kryła w ich wnętrzu, a którą trzeba przy każdej awarii w inny sposób rozwiązywać. Dlatego zaraz po wyzwoleniu przeniosłem się do Lublina, bo kojarzył mi się on wówczas z techniką i wielkim przemysłem. Ale na miejscu rzeczywistość okazała się trochę inna. No i zdałem sobie przy tym sprawę, że

od kuźni w Wąwolnicy i szkoły w Kazimierzu do zawodu mechanika droga bardzo daleka. Na początek ojciec, który miał w Lublinie trochę znajomości, wkręcił mnie do znajomego przedsiębiorstwa. Pewnie mało kto dzisiaj pamięta, przy ulicy Rusalka, mieściły się warsztaty remontowe spółki samochodowej Duni i Janickiego. Było to takie mikroskopijne przedsiębiorstwo komunikacyjne, mieliśmy sześć czy siedem autobusów zwanych popularnie „stonkami”. Na podwoziach ciężarówek z demobilu - „sztudebakerów” i „dzemsów” – umieszczono drewniane, oszklone budy i te dość szkaradne i ciągle nawalające wehikuly kursowały z Lublina do Karczmisk, Bełżyc i Chodla. W tej spółce pracowałem przez rok, trochę jako ślusarz, trochę jako konduktor, bo każdy musiał umieć robić wszystko w zależności od potrzeby. Tylko, że mnie taka praca na długą metę nie odpowiadała. Zdawałem sobie sprawę, że w taki sposób do niczego w życiu nie dojdę.”

We wrześniu 1947 r. Łukasiewicz zapisał się do Gimnazjum Mechanicznego im. Stanisława Syroczyńskiego na Czwartku. Szkolne warsztaty mechaniczne mieściły się niemal na drugim końcu miasta, przy ulicy Długosza, i tam najczęściej przesiadywał Przemysław. Po krótkim czasie instruktorzy zorientowali się, że tyłka on potrafi znaleźć sposób na ciągle psująca się, zdezelowane poniemieckie urządzenia, i co rusz odrywali go od normalnych zajęć szkolnych. Może trochę popsuty tymi sukcesami, po zrobieniu tzw. małej matury Łukasiewicz nie poszedł do liceum, ale za namową starszych kolegów wyjechał do Łodzi - gdzie od razu znalazł pracę w Widzewskiej Fabryce Maszyn Włókienniczych „WIFAMA”.

Mimo wszystko chyba nie postąpił najgorzej, bo miał tutaj ogromne możliwości praktyki na różnych typach maszyn, od tych najstarszych, pamiętających jeszcze dziesiętnaste stulecie, po najnowsze zdobycze techniki. Jak wszędzie wówczas, brak było rąk do pracy, awansowano szybko i Łukasiewicz zanim się obejrzał, był już kierownikiem brygady remontowej.

Tak to, jako dwudziestokilkuletni mężczyzna, znalazł prawdziwe powołanie. Ale zarazem trawił go duch niespokojny, każąc przenosić się z miejsca na miejsce, z tym jednak, że każde miejsce znajdowało się bliżej Lublina. A poza tym, jako człowiek rodzinny, tęsknił do przysiadłej pod Nałęczowem Wąwolnicy, gdzie mieszkała matka, siostry i brat i gdzie można było, dla zachowania wprawy, stanąć przy kowadle. No i wziął sobie za żonę dziewczynę z pobliskiej wsi Łąki, która jakoś nie mogła zapomnieć o nadwiślańskich piaskach.

Było więc kilka lat przeżytych w Poniatowej, gdzie urodziło się dwóch synów - Andrzej i Marek, i gdzie Łukasiewicz, w ówczesnych Zakładach Wytwórczych Sprzętu Instalacyjnego, dał się poznać jako człowiek „do wszystkiego”: pracował w dziale planowania, i jako kierownik sekcji maszyn i urządzeń. Kiedy było trzeba, stawał w charakterze konstruktora przy rajzbracie, a i rysunki budowlane przyszło mu nie jeden raz

wykonywać. Ale co po uznaniu przełożonych, dobrym mieszkaniu służbowym, nagrodach i pochwałach, kiedy ten człowiek o złotych rękach nie mógł dziwnym zbiegiem okoliczności oddać się pracy, którą najbardziej lubił, to znaczy stanąć przy warsztacie, przy rozbebeszonej obrabiarce czy wiertarce, którą należy uzdrowić? Było więc następnie jedenaście lat przeżytych w Kraśniku Fabrycznym, gdzie urodził się syn najmłodszy - Krzysztof, i gdzie ugruntowała się sława brygadzysty Łukasiewicza, który z każdą maszyną da sobie radę.

Nic więc dziwnego, że kiedy przed siedmiu laty Łukasiewicz został zwerbowany przez głównego mechanika, inżyniera Wójcika, do Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie, czekało już na niego trzypokojowe mieszkanie, co stanowi w warunkach lubelskich miarę najwyższego uznania kwalifikacji zawodowych pracownika.

W ten oto sposób koło się zamknęło. Przemysław Łukasiewicz w wieku lat czterdziestu osiągnął to, o czym marzył od dziecka: pracę odpowiadającą jego zamiłowaniom, szacunek otoczenia i wygodny kąt do życia w ulubionym mieście. Zachowana została również w rodzinie tradycja zawodowa: najstarszy syn, Andrzej, skończył Zasadniczą Szkołę Zawodową Urzędzeń Sanitarnych, drugi syn, Marek, pracuje w FSC jako mechanik-kierowca uczęszczając jednocześnie do Technikum Samochodowego dla pracujących, najmłodszy, Krzysztof, uczy się w Technikum Budowlanym. Z synami idzie o lepsze matka, robiąca zaocznie maturę ogólnokształcącą w szkole przy ulicy Długosza, w tym samym miejscu, z którego przed laty jej mąż wyruszał do odległej Łodzi.

I to jest, jak dotąd, wszystko najważniejsze, co wydarzyło się w życiu Przemysława Łukasiewicza. Wracając w wietrzny, wiosenny wieczór a jego mieszkania przy ulicy Łęczyńskiej, reporter przypomniał sobie słowa jednego z pracowników FSC na temat brygadzysty: „Człowiek o złotych rękach. Człowiek rozumiejący potrzebę. Uczciwy i wewnątrznie zdyscyplinowany. Łukasiewicz, to miarka tego, czego szukamy w zakładzie. Gdybyśmy mieli na wydziale kilkunastu Łukasiewiczów!!!”

Tak powiedział kierownik wydziału, inżynier, zwierzchnik. Jeden z kolegów-robotników wyraził to samo w sposób jeszcze bardziej zwięzły i treściwy. Podczas dyskusji na temat współczesnego bohatera pracy socjalistycznej, zorganizowanej w FSC przez „Trybunę Ludu”, ów robotnik wstał i oświadczył: „Według nas - Łukasiewicz”.